

**PETER  
SWANSON**

WKRÓTCE  
FILM  
AGNIESZKI  
HOLLAND

**CZASEM  
WARTO  
ZABIĆ**

PRZEPAWIA O DRESZCZE, MROZI KREW  
W ŻYŁACH I TRZYMA W NAPIĘCIU  
- NA PEWNO WEJDZIE DO KLASYKI GATUNKU.

LEE CHILD

MARGINESY



**PETER  
SWANSON**

**CZASEM  
WARTO  
ZABIĆ**

Przełożyła Ewa Penksyk-Kluczkowska

MARGINESY

*Dla mojej matki Elizabeth Ellis Swanson*

*The Kind Worth Killing*

COPYRIGHT © 2015 BY Peter Swanson

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2016

**ZASADY OBOWIĄZUJĄCE  
W BARACH LOTNISKOWYCH**

– Cześć – usłyszałem.

Spojrzałem na bladą, piegowatą dłoń spoczywającą na oparciu sąsiedniego wolnego barowego krzesła w poczekalni klasy biznes na Heathrow, a potem wyżej, na twarz obcej kobiety.

– My się znamy? – spytałem. Z wyglądu nie kojarzyła mi się z nikim konkretnym, ale jej amerykański akcent, śnieżnobiała bluzka koszulowa, obcisłe dżinsy o nogawkach wsuniętych w sięgające kolan buty – to wszystko przypominało mi okropne przyjaciółki mojej żony.

– Nie, przepraszam. Po prostu podziwiałam pańskiego drinka. Pozwoli pan? – Usadowiła swoje długie, smukłe ciało na obitym skórą stołku obrotowym i położyła na kontuarze torebkę. – To dżin? – spytała o stojące przede mną martini.

– Hendrick’s – odparłem.

Ruchem ręki dała znak barmanowi, nastolatkowi o nastroszonych włosach i lśniącem podbródku, i zamówiła hendrick’s martini z dwiema oliwkami. Kiedy dostała swojego drinka, wzniosła kieliszek w toaście. Mnie został jeden łyk.

– Za szczepienia przeciwko podróżom międzynarodowym – powiedziała.

– Za to wypiję.

Dokończyłem drinka i zamówiłem następnego. Przedstawiła się, ale natychmiast zapomniałem jej imienia. Też się

przedstawiłem: powiedziałem, że jestem Ted. Nie Ted Severson, w każdym razie wtedy jeszcze na pewno nie podałem nazwiska. Siedzieliśmy w przesadnie oświetlonej i przesadnie wyściełanej poczekalni klasy biznes na Heathrow, popijając drinki, wymieniając luźne uwagi, aż stwierdziliśmy, że oboje czekamy na ten sam lot – na lotnisko Logan w Bostonie. Ona wyjęła z torebki ciekawą powieść w miękkich okładkach i zaczęła czytać. Wtedy miałem okazję się jej przyjrzeć. Była piękna – długie rude włosy, oczy świetliste, zielonkawoniebieskie jak wody tropików, i skóra tak blada, że niemal niebieskawobiała. Kiedy taka kobieta siada obok ciebie w twoim ulubionym barze i chwali twój wybór drinków, myślisz, że oto czeka cię wielki życiowy przełom. Ale w barach lotniskowych obowiązują inne zasady. Tu osoby towarzyszące ci przy drinku zaraz się oddalą w przeciwnym kierunku niż ty. Ta kobieta co prawda również udawała się do Bostonu, ale mnie wciąż wypełniał paskudny gniew wywołany sytuacją z żoną. Przez cały tydzień spędzony w Anglii nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Nie mogłem jeść, nie mogłem spać.

Z głośników popłynął komunikat, w którym dało się rozróżnić dwa słowa: „Boston” oraz „opóźniony”. Ponad podświetlonymi rzędami luksusowych alkoholi zerknąłem na tablicę i ujrzałem, jak czas naszego odlotu przesuwają się o godzinę.

– Pora na następną kolejkę – oznajmiłem. – Ja stawiam.

– Czemu nie – odparła. Zamknęła książkę i położyła ją grzbietem do góry, obok torebki na barze. Patricia Highsmith, *Two Faces of January*.

– Jak książka?

– W jej dorobku ta nie jest najlepsza.

– Nie ma nic gorszego niż kiepska książka i duże opóźnienie lotu.

– A co pan lubi czytać?

– Gazety. Za książkami w sumie nie przepadam.

– Więc co pan robi w samolotach?

– Piję dżin. Planuję morderstwa.

– Interesujące. – Uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy. Uśmiech miała szeroki, taki że powodował załamanie skóry pomiędzy górną wargą a nosem i obnażał doskonałe zęby aż po pasek różowych dziąseł. Zastanawiałem się, ile ta kobieta ma lat. Zaraz na początku, gdy tylko się dosiadła, myślałem, że trzydzieści parę, że bliżej jej wiekowo do mnie, ale przez uśmiech i obfitość bladych piegów na nosie wyglądała młodziej. Dałbym jej dwadzieścia osiem lat. Czyli byłaby w wieku mojej żony.

– I oczywiście w czasie lotu pracuję – dodałem.

– Czym się pan zajmuje?

Podawałem jej wersję skróconą – że działam w branży informatycznej, finansuję start-upy i doradzam firmom. Nie powiedziałem, jak zarobiłem większość swoich pieniędzy – dzięki sprzedawaniu tych firm, gdy tylko zaczynają prezentować się obiecująco. I nie powiedziałem, że tak naprawdę mógłbym już nigdy w życiu nie kiwnąć palcem, że jestem jednym z nielicznych właścicieli firm informatycznych z końca lat dziewięćdziesiątych, którzy zdołali korzystnie sprzedać akcje tuż przed pęknięciem bańki. Ukrywam te fakty, bo nie lubię o nich rozmawiać, nie z obawy, że moja nowa towarzyszką mogłaby uznać je za odrażające albo że straciłaby zainteresowanie rozmową ze mną. Nigdy nie miałem problemu z akceptacją swojego majątku.

– A pani? Czym pani się zajmuje? – spytałem.

– Pracuję w Winslow College. Jestem archiwistką.

Winslow to żeński college na zielonym przedmieściu Bostonu, jakieś trzydzieści kilometrów na zachód. Spytałem ją, czym się zajmuje taka archiwistka, a ona przedstawiła mi naj-

mniej nudną – jak podejrzewam – wersję tego zajęcia: jak to gromadzi i zabezpiecza dokumenty dotyczące uczelni.

– I mieszka pani w Winslow? – spytałem.

– Tak.

– Jest pani mężatką?

– Nie. A pan jest żonaty?

Już kiedy to mówiła, zauważyłem dyskretne zerknięcie na moją lewą dłoń.

– Tak, niestety – odparłem. Po czym podniosłem rękę, by pokazać jej pusty palec serdeczny. – Ale nie, nie zdejmuję obrączki w barach lotniskowych, na wypadek gdyby usiadła obok taka kobieta jak pani. Nigdy jej nie nosiłem. Obrączki strasznie mi przeszkadzają.

– Dlaczego niestety?

– To długa historia.

– A lot jest opóźniony.

– Naprawdę chce pani słuchać o moim nikczemnym życiu?

– Jak mogłabym teraz zaprzeczyć?

– Jeśli mam o nim rozprawić, potrzebuję wsparcia. – Podniosłem pusty kieliszek. – A pani?

– Nie, dziękuję. Dwa to moje maksimum. – Zsunęła zębami oliwkę z wykałaczki i ją przygryzła. Mignął mi różowy koniuszek jej języka.

– Zawsze powtarzam, że dwa martini to za dużo, a trzy za mało.

– Zabawne. Czy to nie są słowa Jamesa Thurbera?

– W życiu o nim nie słyszałem – odparłem, uśmiechając się lekko, chociaż trochę się zmieszałem, że przypisuję sobie autorstwo czyichś słów. Przede mną pojawił się nagle barman i zamówiłem kolejnego drinka. Skóra wokół ust przyjemnie mi drętwiała, jak zawsze od dżinu. Groziło mi, że zanedo się upiję i za dużo powiem, ale tu obowiązywały przecież zasady

lotniskowe i chociaż moja nowa towarzysząca mieszkała zaledwie trzydzieści kilometrów ode mnie, już zapomniałem, jak się nazywa, szanse zaś na to, że jeszcze kiedykolwiek ją w życiu zobaczę, miałem naprawdę znikome. A dobrze się rozmawiało i piło z obcą osobą. Od samego wypowiedzania na głos słów mój gniew łagodniał.

Opowiedziałem jej. Opowiedziałem, jak to moja żona i ja jesteśmy małżeństwem od trzech lat i że mieszkamy w Bostonie. Opowiedziałem jej o wrześniowym weekendzie spędzonym w Kennewick Inn na południowym wybrzeżu Maine, i jak się zakochaliśmy w okolicy, i kupiliśmy jakąś absurdalnie drogą posiadłość nad brzegiem oceanu. Opowiedziałem, jak moja żona, ponieważ ma dyplom ukończenia jakiegoś kierunku o nazwie działalność społeczno-artystyczna, uznała, że dysponuje kwalifikacjami, by brać udział w budowie domu wraz z ekipą budowlaną, i ostatnio spędzała większość czasu w Kennewick, współpracując z naszym wykonawcą Bradem Daggettem.

– I ona z tym Bradem...? – spytała, wsunawszy do ust drugą oliwkę.

– Aha.

– Jest pan pewien?

Podąłem więc jej więcej szczegółów: Mirandę coraz bardziej nudziło nasze życie w Bostonie. Przez pierwszy rok małżeństwa oddawała się urządzaniu naszego domu, kamienicy w South Endzie. Potem podjęła pracę na pół etatu w galerii przyjaciółki w SoWa, ale już wtedy wiedziałem, że w naszym związku coś się wypala. Tematy do rozmów kończyły nam się w połowie obiadu. Zaczęliśmy chodzić do łóżka w różnych porach. Co ważniejsze, każde z nas straciło tożsamość, która określała nas w związku na początku jego istnienia. Byłem wówczas bogatym biznesmenem, który wprowadził ją w świat eleganckich

i drogich gali dobroczynnych, ona zaś była wolnym duchem, artystką, która kupowała wycieczki na tajlandzkie plaże i lubiła przesiadywać w barach plażowych. Wiedziałem, że te wizerunki to nasze naciągane stereotypy, ale w naszym wypadku to zdawało egzamin. Przypadliśmy sobie do gustu pod każdym względem. Bawił mnie nawet fakt, że chociaż uważałem się za przystojnego, w takim konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, w jej obecności nikt nie zwracał na mnie uwagi. Miranda miała długie nogi i duże piersi, twarz w kształcie serca i pełne usta. Ciemnobrązowe włosy zawsze farbowała na czarno. Stylizowała je tak, żeby wyglądały na potargane, jakby właśnie wstała z łóżka. Cerę miała nieskazitelną i nie musiała się malować, chociaż nie wychodziła z domu bez czarnych kresiek na powiekach. Widziałem, jak mężczyźni w knajpach świrowali na jej punkcie. Może to były moje projekcje, ale w kierowanych na nią spojrzeniach dostrzegałem pożądanie i pierwotne instynkty. W takich chwilach cieszyłem się, że nie żyję w czasie i miejscu, gdzie mężczyźni stale noszą przy sobie broń.

Na wycieczkę do Kennewick w stanie Maine wybraliśmy się pod wpływem impulsu, w spontanicznej reakcji na wyrzut Mirandy, że od ponad roku prawie nie spędzamy czasu razem. Pojechaliśmy w trzecim tygodniu września. Przez kilka pierwszych dni było bezchmurnie i ciepło, ale w środę z Kanady nadciągnęła burza i uwięziła nas w pokoju. Mogliśmy tylko pić allagash white i jeść homary w knajpie w podziemiach motelu. Gdy burza przeszła, dni stały się zimne i suche, światło bardziej szare, a zmierzch dłuższy. Kupiliśmy swetry i wyprawiliśmy się na półtorakilometrowy klifowy szlak zaczynający się na północ od motelu i biegnący skrajem urwiska ponad kłębiącym się Atlantykiem. Powietrze, jeszcze niedawno ciężkie od wilgoci i zapachu kremu do opalania, teraz stało się rześkie i słone. Oboje zakochaliśmy się w Kennewick do tego stopnia,

że kiedy trafiliśmy na zarośnięty głogiem kawałek ziemi na sprzedaż, położony na wysokim cyplu na końcu szlaku, zadzwoniłem pod numer podany na tabliczce i złożyłem ofertę.

Rok później po głogowych chaszczach nie zostało ani śladu, wykopano fundamenty i dom o ośmiu sypialniach był niemal gotowy. Jako głównego wykonawcę zatrudniliśmy Brada Daggetta, krzepkiego rozwodnika z gęstymi czarnymi włosami, hiszpańską bródką i nosem wyglądającym tak, jakby kiedyś był złamany. Podczas gdy ja w Bostonie doradzałem grupce świeżo upieczonych absolwentów MIT, którzy stworzyli nowy algorytm do wyszukiwarki bazującej na blogach, Miranda coraz więcej czasu spędzała w Kennewick. Wynajmowała pokój w motelu i nadzorowała wszystkie prace na budowie. Miała obsesję na punkcie najmniejszego kafelka czy najbłahszej instalacji.

Na początku września postanowiłem zrobić żonie niespodziankę. Zostawiłem wiadomość na jej poczcie głosowej, wjeżdżając na I-95 na północ od Bostonu. Koło południa dotarłem do Kennewick i zajechałem do motelu. Powiedziano mi, że nie ma jej od rana.

Ruszyłem na budowę i zaparkowałem na żwirowym podjeździe, za fordem F-150 Brada. Stał tam też jasnoturkusowy mini cooper Mirandy. Nie byłem na budowie od kilku tygodni i z radością stwierdziłem, że poczyniono znaczne postępy. Najwyraźniej wstawiono już wszystkie okna i dostarczono błękitnoszary piaskowiec zamówiony do ogrodu, który miał powstać w zagłębieniu terenu. Przeszedłem na tył domu, gdzie każda sypialnia na piętrze miała swój balkon i gdzie przeszklona weranda wzdłuż parteru wychodziła na wielki kamienny dziedziniec. Nieco dalej wykopano już prostokątny dół na basen. Wspiąwszy się kamiennymi schodkami na dziedziniec, przez wysokie okna kuchni wychodzące na ocean dojrzałem Brada i Mirandę. Już miałem zastukać w szybę, by oznajmić swo-



je przybycie, gdy coś mnie powstrzymało. Oboje opierali się o świeżo zainstalowany blat kuchenny z kwarcu, oboje patrzyli za okno, przez które roztaczał się widok na zatoczkę Kennewick. Brad palił papierosa i właśnie strząsał popiół do filiżanki trzymanej w drugiej dłoni.

Ale to na widok Mirandy znieruchomiałem. Coś przykuło moją uwagę – to jak stała, jak opierała się o blat, przechylona ku szerokim ramionom Brada. Z jej pozy biła absolutna swoboda. Patrzyłem, jak od niechcienia podnosi dłoń, a Brad wsuwa swojego papierosa pomiędzy jej palce. Zaciągnęła się głęboko i oddała mu papierosa. Podczas tej wymiany nie spojrzeli na siebie, ja zaś zrozumiałem, że nie tylko sypiają ze sobą, lecz także zapewne są w sobie zakochani.

Zamiast poczuć gniew czy konsternację, odruchowo zareagowałem paniką, że mnie zauważą na dziedzińcu, jak podglądam ich w intymnej chwili. Wycofałem się na front domu, wszedłem na werandę, po czym energicznym ruchem otworzyłem przeszkłone drzwi i krzyknąłem: „Halo!”, co odbiło się echem w pustym budynku.

– Tutaj! – odkrzyknęła Miranda.

Wszedłem do kuchni.

Odsunęli się trochę od siebie, ale naprawdę odrobinę. Brad gasił papierosa w filiżance.

– Teddy, co za niespodzianka! – zawołała moja żona. Tylko ona tak się do mnie zwracała, zdrobnieniem, które zrodziło się jako żart, bo w ogóle do mnie nie pasowało.

– Cześć, Ted – odezwał się Brad. – I jak ci się podoba dotychczasowa robota?

Miranda obeszła blat i uraczyła mnie całusem, który trafił w kącik ust. Pachniała drogim szamponem i papierosami marlboro.

– Wygląda nieźle. Widziałem, że przyjechały moje płytki.

Miranda się roześmiała.

– Pozwoliliśmy mu wybrać jedną rzecz i już cała reszta go nie obchodzi.

Brad też wyszedł z za blatu, uściśnął mi rękę. Dłoń miała wielką, sękatą, skórę ciepłą i suchą.

– Chcesz obejrzeć resztę?

Gdy oprowadzali mnie po domu, Brad opowiadając o materiałach budowlanych, a Miranda wskazując, gdzie trafi który mebel, zacząłem się zastanawiać na spokojnie nad tym, co wcześniej widziałem. Żadne z nich w mojej obecności nie wydawało się ani trochę zdenerwowane. Może po prostu bardzo się zaprzyjaźnili, na tyle, by stać blisko siebie i palić na spółkę papierosa. Miranda należała do osób wylewnych, chodziła pod ramię z przyjaciółkami, a naszych znajomych płci męskiej witała i żegnała pocałunkiem w usta. Niewykluczone, że wpadłem w paranoję.

Po obejściu domu Miranda i ja pojechaliśmy do Kennewick Inn i zjedliśmy lunch w Livery Tavern. Oboje zamówiliśmy kanapki z czernionym łupaczem, a ja wypilem dwie szkockie z wodą sodową.

– Przy Bradzie znowu zaczęłaś palić? – spytałem, chcąc ją przyłapać na kłamstwie i sprawdzić, jak zareaguje.

– Słucham? – Ściągnęła brwi.

– Czuć było trochę od ciebie papierosami. Tam w domu.

– Może się sztachnęłam parę razy. Nie zaczęłam znowu palić, Teddy.

– W sumie to nieważne. Tak się tylko zastanawiałem.

– Mieści ci się to w głowie, że dom jest prawie skończony? – Zmieniła temat, zanurzając frytkę w moim keczupie.

Przez dłuższą chwilę rozmawialiśmy o domu i jeszcze bardziej zwątpiłem w znaczenie sceny, którą zobaczyłem. Miranda nie zachowywała się, jakby miała poczucie winy.

– Zostajesz na weekend? – spytała.

– Nie. Wpadłem tylko na chwilę. Dzisiaj mam kolację z Markiem LaFrance’em.

– Odwołaj ją i zostań. Jutro ma być piękna pogoda.

– Mark przyleciał specjalnie na to spotkanie. A muszę jeszcze przygotować parę zestawień.

Pierwotnie zamierzałem zostać w Maine na całe popołudnie w nadziei, że Miranda zgodzi się na długą drzemkę w pokoju hotelowym. Ale po tym, jak ujrzałem ją z Bradem migdalących się w bardzo drogiej kuchni, za którą ja zapłaciłem, zmieniłem plany. Po lunchu odwoziłem Mirandę na budowę, bo tam zostawiła swój samochód. Potem, zamiast ruszyć po prostu na I-95, drogą numer 1 pojechałem na południe do Kittery i tamtejszego półkilometrowego ciągu outletów. Zajechałem pod Faktorię, skupisko sklepów specjalizujących się w sprzęcie i ciuchach do zajęć w terenie. Mijałem ją już przy wielu okazjach i nigdy tam nie zajrzałem. W ciągu mniej więcej kwadransa wydałem niemal pięćset dolarów na wodoodporne bojówki w panterkę, szary płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, duże okulary lotnicze i profesjonalną lornetkę. Zabrałem to wszystko do toalety naprzeciwko Crate and Barrel i przebrałem się w swój nowy strój. W kapturze i okularach czułem się nierozpoznawalny. Przynajmniej z daleka. Pojechałem z powrotem na północ, zaparkowałem na publicznym parkingu niedaleko zatoczki Kennewick, wciskając moje quattro pomiędzy dwa pikapy. Wiedziałem, że nie ma powodu, by Miranda czy Brad zajechali na ten akurat parking, ale też nie było powodu, bym zostawiał wóz na widoku.

Chociaż wiatr przycichł, niebo wisiało nisko, jednolicie szare, raz po raz nadciągała ciepła mżawka. Przeszedłem po wilgotnym piasku plaży, po czym wdrapałem się po luźnych kamieniach, po których prowadziła droga do szlaku na urwisku.

Poruszałem się ostrożnie, nie odrywając wzroku od wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki – śliskiej od deszczu i gdzieś tam wybrzuszonej przez korzenie – żeby nie patrzeć na dramatyczny rozmach Atlantyku po prawej. Na niektórych odcinkach szlaku erozja całkowicie zniszczyła płyty, a wyblakły znak przestrzegał spacerujących o zagrożeniu. Z tego powodu ścieżka była umiarkowanie uczęszczana – dzisiaj spotkałem tu tylko jedną osobę, nastolatkę w bluzie klubowej Boston Bruins. Pachniała, jakby przed chwilą zjarała skręta. Minęliśmy się, nie wymieniając ani słowa, nawet na siebie nie patrząc.

Pod koniec szlaku szedłem szczytem kruszącego się cementowego muru wytyczającego granicę posiadłości z kamienną chatą, ostatnim domem przed półkilometrowym odcinkiem niezabudowanego terenu, który sięgał do naszej parceli. Ścieżka schodziła dalej w dół do morza, przecinała krótką, kamiennistą plażę zasłaną wodorostami i zniszczonymi bojami, po czym dalej biegła wzdłuż stromego wzniesienia, pośród pokręconych świerków. Deszcz znowu zaczął padać, zdjąłem wilgotne okulary przeciwsłoneczne. Szansa na to, że Miranda czy Brad znajdują się na zewnątrz, była nikła, a ja zamierzałem zatrzymać się na skraju otwartego terenu oczyszczonego z roślinności i ukryć się w zagajniku zimnotrwałych zarośli wzdłuż niżej położonej części cypla. Gdyby któreś z nich wyjrzało i mnie zobaczyło, pewnie zostałbym uznany za obserwatora ptaków. Gdyby ktoś ku mnie ruszył, mogłem się szybko wycofać na ścieżkę.

Wreszcie zobaczyłem dom majaczący nad urwiskiem i uderzyło mnie, nie po raz pierwszy, jak tylna jego strona – ta wychodząca na ocean – stylistycznie odbiega od strony wychodzącej na drogę. Front domu miał fasadę wyłożoną kamieniem, o nielicznych niewielkich oknach i wyniosłych drewnianych drzwiach z przerysowanymi łukami. Od tyłu dom wykończo-

no pomalowanym na beżowo drewnem, a z powodu identycznych okien oraz identycznych balkonów wyglądała na średniej wielkości motel. „Mam mnóstwo przyjaciół” – wyjaśniła Miranda spytana, po co nam siedem pokoi dla gości. Następnie spojrzała na mnie tak, jakbym spytał, po co nam w domu woda bieżąca.

Znalazłem dobry punkt pod skarłowaciałym świerkiem, pochylonym i pokręconym niczym bonsai. Położyłem się na wilgotnej ziemi i skierowałem lornetkę na dom. Miałem do niego jakieś pięćdziesiąt metrów, więc bez trudu zaglądałem do środka przez okna. Przepatrzyłem parter, nie dostrzegłem żadnego ruchu, po czym zająłem się piętrzem. Nic. Westchnąłem głęboko, przyjrzałem się fasadzie gołym okiem, żałując, że nie mam widoku na drogę dojazdową. Najwyraźniej w domu nie było nikogo, chociaż ciężarówka Daggetta ciągle tam stała, gdy podrzucałem Mirandę.

Kilka lat temu pojechałem na ryby z kolegą, innym spekulantem dotcomowym, najlepszym znanym mi wędkarzem morskim. Wystarczyło, że wpatrzył się w powierzchnię oceanu i wiedział dokładnie, gdzie są ryby. Wyjaśnił mi, że cała sztuka polega na tym, by nie skupiać spojrzenia w jednym miejscu, lecz objąć wzrokiem naraz wszystko w jego zasięgu. Dzięki temu zdołał dostrzec najlżejszy ruch, zawirowanie wody. Raz próbowałem to zrobić, ale osiągnąłem tylko tępy ból głowy. Tak więc, gdy po jeszcze jednych uważnych oględzinach przez lornetkę nic nie zobaczyłem, postanowiłem zastosować tę samą sztuczkę w odniesieniu do swojego domu. Wszystko przed moimi oczyma się zamazało, a ja czekałem, aż jakiś ruch sam przyciągnie uwagę, i gdy tak wpatrywałem się w dom niespełna minutę, dostrzegłem coś przez wysokie okno przyszłego salonu na północnym końcu budynku. Podniosłem do oczu lornetkę i wycelowałem w okno; Brad i Miranda właśnie weszli

do pomieszczenia. Widziałem ich całkiem wyraźnie; chylące się ku zachodowi słońce padało na okno pod dobrym kątem, oświetlając wnętrze, a nie oslepiając mnie. Patrzyłem, jak Brad podchodzi do prowizorycznego stołu ustawionego przez stolarzy. Wziął do ręki kawałek drewna, który wyglądał jak profil sufitowy, i podsunął go mojej żonie. Przesunął palcem po rowkach, ona zrobiła to samo. Jego usta się poruszały, a Miranda najwyraźniej słuchała go i kiwała głową.

Przez krótką chwilę poczułem się żałośnie – ogarnięty paranoją zamaskowany mąż śledzi żonę i swojego budowlańca – ale oto Brad odłożył listwę i patrzyłem, jak Miranda pada mu w ramiona, odchyła głowę i całuje go w usta. On wyciągnął swoją wielką rękę i przycisnął jej biodra do swoich, a drugą chwycił w garść jej potargane włosy. Usiłowałem nie patrzeć dalej, wiedziałem, że nie powinienem, ale jakoś nie mogłem przestać. Obserwowałem co najmniej dziesięć minut, patrzyłem, jak Brad kładzie moją żonę na stole, jak zadziera jej ciemnofioletową spódniczkę, ściąga maleńkie białe majtki i bierze ją od tyłu. Patrzyłem, jak Miranda ustawia się dogodnie wzdłuż stołu, jak zapiera się jedną ręką o blat, a drugą sięga między nogi, by wprowadzić Brada do środka. Z pewnością robili to już wcześniej.

Wycofałem się i usiadłem. Gdy po chwili wróciłem na ścieżkę, ściągnąłem kaptur i zwymiotowałem lunch do ciemnej, pomarszczonej na wietrze kałuży.

– Jak dawno to było? – spytała moja towarzyszka, gdy już opowiedziałem jej o tym wszystkim.

– Ponad tydzień temu.

Zamrugnęła powiekami i przygryzła dolną wargę. Powieki miała blade jak bibułka.

– I co z tym chcesz zrobić? – spytała.

Przez cały tydzień sam sobie stawiałem to pytanie.

– Tak naprawdę to chcę ją zabić. – Uśmiechnąłem się odrętwiałymi od alkoholu wargami i usiłowałem puścić oko, żeby dać jej możliwość nieuwierzenia w moje słowa, ale jej twarz pozostała poważna. Podniosła rudawe brwi.

– Myślę, że powinieś to zrobić – powiedziała, a ja czekałem na jakąś wskazówkę, z której bym wywnioskował, czy żartuje. Ale się nie doczekałem. Nawet jej powieka nie drgnęła. Gdy się w nią wpatrywałem, zdałem sobie sprawę, że jest o wiele piękniejsza, niż mi się początkowo wydawało. Eterycznym pięknem, ponadczasowym, jakby była modelką z renesansowego obrazu. Tak inna od mojej żony, która wyglądała jak żywcem wzięta z okładki szmatławego powieścidla z lat pięćdziesiątych. Już miałem w końcu się odezwać, gdy ona przechyliła głowę, by wysłuchać stłumionego komunikatu z głośników. Właśnie obwieścili, że zaczyna się boarding pasażerów naszego lotu.

Tego lata, gdy skończyłam czternaście lat, moja mama zaprosiła pewnego malarza, by się do nas wprowadził. Miał na imię Chet, a jego nazwiska nie pamiętam. W ogóle w sumie nie wiem, czy je kiedykolwiek poznałam. Przyjechał i zajął niewielkie mieszkanie nad pracownią matki. Nosił mocne okulary w ciemnych oprawkach, gęstą brodę, zawsze upstrzoną farbą, i pachniał jak przejrzały owoc. Pamiętam, że gdy się sobie przedstawialiśmy, zerknął na moją klatkę piersiową. Trwały już upały, więc chodziłam w obciętych dżinsach i bezrękawniku. Moje piersi wielkością nieznacznie odbiegały od bąbli po ugryzieniu komara, ale on i tak patrzył.

– Witaj, Lily – rzekł. – Mów mi wujek Chet.

– Dlaczego? Jesteś moim wujkiem?

Puścił moją rękę i wybuchnął chrapliwym śmiechem, przypominającym niesprawny silnik.

– No wiesz, już się czuję tu jak rodzina, tak mnie traktują twoi rodzice. Całe lato do malowania, Jezu... Niesamowite.

Odeszłam bez słowa.

Nie był naszym jedynym gościem tamtego lata. Prawdę mówiąc, w Monk's House nigdy nie zadowolono by się jednym gościem, zwłaszcza latem, gdy moi rodzice nie wykładali i mogli się skupić na tym, co naprawdę uwielbiali: na picciu i chędożeniu. Nie chcę tu tragizować nad swoim dzieciństwem.

Piękna kobieta w poczekalni na Heathrow odgarnia z twarzy długie rude włosy, zakłada nogę na nogę i sączy martini, czyta Patricię Highsmith. Ma na imię Lily. Przysiada się do niej Ted, bogaty biznesmen.

W oczekiwaniu na spóźniony samolot – gdy kolejne drinki sprzyjają wylewności, podobnie jak przekonanie o jednorazowym charakterze spotkania – mężczyzna wyznaje nieznanemu, że przyłapał żonę na zdradzie i marzy o tym, by ją zabić. „No to zabij”, mówi Lily.

To proste zalecenie uruchamia lawinę wydarzeń. Lily zgadza się pomóc Tedowi, ale nie uchyla własnych tajemnic, dzięki którym wiadomo, że świetnie się nadaje to tej akurat pomocy. Dlaczego? Kim jest ta dwójka podróżnych? To żartownisie czy socjopaci? Szukają zemsty czy miłości? Wśród rozpedzonych wydarzeń trudno ocenić. Każdy zwrot akcji przyprawia o zawrót głowy.

**Mistrzowski kryminał Petera Swansona nie daje ani chwili wytchnienia. To powieść zaskakująca i inna niż wszystkie.**

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

[www.portalokryminalny.pl](http://www.portalokryminalny.pl)



ROOM

BOOKLIPS.PL IIIII